

Robert Król

GATUNKI ŚNIEGU*

WWW.HA.ART.PL

Robert Król, *Gatunki śniegu**, Kraków 2003
© Copyright by Robert Król

Redaktor serii:
Piotr Marecki

Redaktor tomu:
Igor Stokfiszewski

Projekt okładki:
PIOtr Kaliński

Skład i łamanie:
PM

Seria wydawnicza
magazynu kulturalno-artystycznego Ha!art

kolekcja Ha!art, tom XVIII

Wydawca
KRAKOWSKA ALTERNATYWA
skrytka pocztowa 442
30-960 Kraków 1

ISBN 83-88957-15-5

Druk
P. W. Stabil
ul. Nabelaka 16
Kraków

LEŻĄCY

Jakby nie miał nic do powiedzenia. Z zalepionymi ustami
wprawdzie coś da się? Ścierany na pył. Lecz poruszający
jeszcze spękanymi blaszkami warg pod plastrem taśmy klejącej.
Mijałem go nie raz. A jakże. A teraz się rozpada na boku.

Jak lustro kałuży pod mściwym obcasem. Na cząsteczki.
Igiełki. Witki światła, orbitujące nerwowo po obręczach felg
jak odbicia płonących czupryn kartaczy – gasnące, to znów
powracające. Chciałem powiedzieć: nabijające hurtem kolejne

refleksy w laski prążkowanych sopli. A co? Przecież można
i tak. Kiedy nie pamięta się wszystkich twarzy, a kilka spieszących
uwag o mimice nie wystarcza. Ponadto te motywy. Ach, niejasne
manewry. Niepełne stosunki. Dłonie pociągające bezwiednie

za sznurki. I krzywe słupki sumek, podliczane na złamanie karków.
Bo najwyższy z nas ma wkręcić rzeczoną żarówkę. Solidnie
i po omacku. Więc ktoś musi się zakręcić na tym samym stołku.
Do oporu. Do zerwania gwintu, stropu lub ścięgien w nadgarstku.

ZAWROTY DRUGIE

Otwarta przestrzeń nie sprzyja domysłom.
I zdobyte już wszystkie przyczółki wilgoci
i cieni. Na razie działałam w oparciu o jasne
reguły: tańczę jak mi zapłacą, śpiewam,

kiedy zechcę. A symfonia dźwięków,
barw i zapachów kłębi się wokoło. Oblepia
szczelnie ścianki żołądka. Połamany język
zatacza się z piskiem w otwartych ustach

jak styropianowa kuleczka. Wytraca
prędkość, kończąc bieg na chodniku wraz
z wypłutą gumą. A każdy kolejny dzień
przynosi nowe zwłoki. Światło zwleka się

z metalowych antenek, sterczących ponad
żywopłotem jak owadzie czułki, wreszcie
przechodzi przez szklaną kopułę przystanku.
I ty odzwierciedlasz się. Tymczasem spiszek.

Przerzutnie w rozkładach jazdy robią nam
generalną próbę szczękościsku. Poniżej
epitety na ka i cha rozwikłują pogmatwane
sieci wątpliwości. Ładna to legenda, powiadasz.

I chcesz się pod tym niezwłocznie podpisać.
Znajdujesz wolne miejsca w nieforemnym
kręgu. Ruszyło odliczanie. Już przebiegle cyka
syntetyczny mechanizm. Już myli się na korzyść.

SIEDEM TRÓJEK

Oto jawne symbole ukrytej udręki: zaczątek ruchu na linii horyzontu, jakieś drgniecie czy też może dopiero jego wylęg; potem blizny w kształcie krzyżyka i świętej postaci na pokrewnej twarzy. Coś się wykluwa.

Na wszelki wypadek drobne poprawki mamy już wzięte na cel. Winy zdiagnozowane i zarzucone. Poza tym i niezłym nazwiskiem przywłókł mnie tutaj kanon przyjemnych motywów dekoracyjnych, przywiodła

mnie piosnka ckliwa i prosta. Albowiem różnica jest taka, że wyniesie się z tego wszystkiego ni mniej, ni więcej. Lub tylko wątki wtórne, skonsumowane po dwakroć. Wóz lepszy od przewozu, kładka szersza od mostu? Ironia

rzeczy łatwych. Przedstawionych pod zastaw. Wadliwie naprawionych. To taki rodzaj chaosu. Lepszy gatunek porządku. No cóż, milczenie funkcjonuje u nas znacznie lepiej, odkąd mogę posługiwać się ciałem tej nieskazitelnej formy.

STYCZNOŚĆ

Systemy obronne zawodzą. Obłoki
jak blaszki. Nie ma większych potrzeb,
nad te, które pielęgnujemy w sobie

od święta. W bajkach uwidaczniają się
niedociągnięcia, wychodzą na jaw drobne
różnice płci. Stworzyłeś mitologię, to ją

sobie wypisz kolorem w kajecie na jakies
„zaś” lub inne „wszelkie wypadki”. I co?
I nic. Ulica miękka jak podbrzusze ryby.

PROJEKCJE

Siedmiu na dziesięciu popiera banalne doświadczenia.
No więc jaki był ten naprawdę pierwszy impuls?
Ręka zanurzona w nocniku, zakłócona śpiewem cisza,
przetracone ramiona czy może wręcz płetwa i ogon.

Zdania powyjmowane z obcych ust o niczym jeszcze
nie świadczą. To zaledwie drętwy słowotok. Jątrząca
zagadka. A przecież propozycje na rozładowanie napięcia
można było znaleźć oślepiając inaczej. Zaczynają się lekkie

projekcje. Poplątanie konstelacji wiary i astralnych zbliżeń.
Małżowina nie przyjmuje więcej nadto, ile się jej dostarcza.
Ot, paproszki dźwięków. Wibrujące smużki niepokoju.
Tak więc ciągle ten sam dzień skrojony na trzeci wymiar,

i męczące przerwy w emisji szumków i stukotów. W takich
właśnie wypadkach trzeba się wspomagać konkretnymi
obrazkami: dłońmi bez palców, udami w rozkładzie?
Dla pewności mam jeszcze oko i podręczny zestaw szkielek.

RAZEM WZIĘCI

Kąt padania wiązek światła zależny jest od dziecięcych rączek. W dziecięcych rączkach spoczywa kołyska szkła z rozbitej butelki. Paluszki obracają szkielecko powoli, przestawiając optykę. W takim układzie niech

i tak będzie: sieć podtekstów wpłątana w obręb piaskownicy jest imponująca i uwalnia coraz to nowsze atrapy kaprysów na twarzach zrezygnowanych gapiów. Jeszcze parę takich posunięć i wyniknie z tego coś

więcej aniżeli tylko kolejny zaprzepaszczonego tytułu chwytliwego wiersza; choć z drugiej strony w takich okolicznościach można by pokusić się o jakieś lepsze z gruntu i powietrza środki zaradcze na poranne łamanie

w kościach, szum w uszach lub nader śmiertelne poczucie humoru. Dowód? Jeśli dowód istnieje, to jedynie dla zagęszczenia baśniowej atmosfery pod jawną przykrywką lub płaszczykiem, w wytłumionych piwnicach i wirtualnych

przestrzeniach. To koszmarnie spiętrzenie błędnych kół, tak czy inaczej, rozmięknie się na drobne uśmieszki i znajdzie wyraz w nowej postaci, w nieopatrzonym zrastaniu się życia na powrót. W tym, co dzieci zrobią z gazetą i zapalkami.

EWOKACJE

Elegancka riposta: wydeptujemy żwir w alejkach.
I kto by pomyślał, że nagłe fortele również zawiodą?
A jeszcze do niedawna różnicowaliśmy tekst młodego
poety, opierając się jedynie na w miarę logicznych

spostrzeżeniach. Wszak intryga, którą prowadzimy
na rzecz przyszłościowego posmaku nowości nie wchodzi
w rachubę od dawna, ale brak odpowiedzi można również
uznać za wcale nie mniej właściwą sposobność do stawiania

kolejnych pytań: czy twój ogrodnik wyłapuje krety?
Bo sądzę, że pierwotna wersja pieśni śpiewanej na koniec
ciepłych wakacji to tylko kolejna poszlaka. Zmieńmy zatem

temat, póki jeszcze zbawiennym jest ocieranie się o alegorię
w momencie, kiedy oboje widzimy zakończenie historii
w dwu różnych miejscach, i gdy nie rozumiemy – podłoża?

OSTATNIE FIGURY

Ktoś mnie pomylił z kimś innym. A potem się wymieniał na aluzje i kalekie pytania o dalszy ciąg. Zawsze jest to ryzyko, że można być wziętym za kogoś innego w pozornym świetle i brutalnej pozie. Nie każda aparatura wyczulona

jest wszak na wypróbowanych bohaterów bajek. Toteż nie ma to, jak sprawne oko czy ucho albo wręcz widzące i słyszące w jednym. I żadnych zgrabnych sztuczek, drugich denek czy markowych trików. Nadąża się po to, aby więcej zrozumieć,

gdy pojmuje się na własność i w niewielkich ilościach. Zatem czyż język giętki podoła regułom tej gry? Nagromadzenie spójników w charakterze wdów w końcówkach wersów bywa już męczące. Szukam tezy, aby mógł wypełnić się mit. A jedynie

morał sprostać może dziełu? Pirackie gniazda mamy już zajęte. Ochryple skrzaty czają się po kątach. A ten czy ów szydzi z nadarzającej się znowu okazji. Ostatnie figury: systemy lusterek wychwytyują drżenia. Ptak wessany pod obłok jeszcze się szamocze.

NÓŻ OBOSIECZNY

W całości lub z małymi poprawkami. Lekką rączką i dźgającym paluszkiem. Osobiście jednak uważam, że cele są nadal ukryte. Zatem czyż słowa mogą brzmieć tylko dwuznacznie, skoro jedna ręka zakrywa

już połowę twarzy, a twarz zaledwie przypomina kobiecą? Za to drobnica zarostu ujawnia pierwsze oznaki, mówmy może inaczej: cechy ludzkie, cechy zwierzęce. A widzisz: inna komórka – i zgoła inny

organizm. Przydługi refren w zbyt krótkim utworze. Lecz problemy z koncentracją są wszak najważniejsze. Zwalczanie opozycji literatów przebiega bowiem w sposób nader pomyślny. Akcja się zagęszcza, a rozmowa przy

użyciu palców w kontekście jeziora może się sprowadzać tylko do jednego. No więc taka oto metafora miłości, wmieszana na koniec między bajki: pijany krasnal oparty o słupek – skośnoocy w uściskach, szukający kontaktu.

MIGAWKA

Szukam kruczka. Bo zjawiska
rozwijane są permanentnie.
I nikt nie zauważa jak. A bardziej
niż można przewidzieć.

Inaczej się nie da? Więc
po to zmienia się cielesne oprawy
w kłębowiska kolorowych
światel i feerii blasku. Po to

się nieruchomieje jak wciśnięty
klawisz. I czeka się w kwaterach
słów, nie mogąc ich raz
a dobrze drugiemu wymówić.

A być może byłoby lepiej zasiać
choć trochę zwątpienia? Może
się tak okopać, dać uwieść
pozorom? Brygady porządkowe

oddają należne honory.
Dekoracja boiska ma postać
graficzną. Widać piksele błota
zaschłe na zwiniętych nogawkach.

Bajty tkwią w refleksach. Ot,
błyski i mgnienia. Poza tym pusta
framuga. Po niebie kluczą ptaki
– z braku wskazówek czy wyjścia?

ROZERWIESZ

Jakieś ułamki tego, co się pomyślało samo:
życie nie mieszczące się w granicach ludzkiego
pojęcia. Rozchodzące się leniwie na boki,
przeliczone na drobne grzeszki i nieznaczne

omyłki. Mniej więcej tak oto wygląda kolejna
dobra wymówka, przywoływana w ciągu
luźnych skojarzeń, myśli oraz biegłych próśb.
A co do powitań i pożegnań: nie wszystko

zostało powiedziane w sposób dosadny, tak
więc nie wszystko jeszcze wydaje się straconym.
Spójrz tylko na przeciwległy brzeg. Znowu się
rozłączyli i trzeba podążać wzrokiem za jednym

z nich, nie odróżniając nawet płci. Zatem warto
czasem poświęcić nieco więcej, wkładając w to
mniej. Szwindel? Nie sądzę. Chyba raczej tkanka:
porządku, obrządku? Jeszcze zobaczysz, rozerwiesz.

SKLEPIENIE

W przeciwnym wypadku wszystko by runęło;
no bo przecież samo się nie poskleja. Niby jak?
Na siłę, do kupy? Światła są już wygaszone.
Co piąty sen tak się zaczyna: leci się głową

w dół i leci. I nic ponadto. Uroczę to nieróbstwo,
nieprawdaż? Więc nie ma co bardziej okrawać
zacinającej się historii. Lepiej już stępić zachwyty
na ładnym wyglądzie albo oddać się komuś

bezwiednie. Wyprowadzić się na manowce.
Zatem czemu we śnie najczęściej wzbiera woda,
czemu dzieje się to w korytarzach lub podniosłych
salonach? Naturalnie możliwe są także inne,

acz nie mniej intrygujące, poletka tych mitycznych
zmagań, tudzież cichych schadzek. Och, trzeba
by tylko złapać ten właściwy dryl. A potem wczuć
się w rolę krasnala lub księżniczki i odegrać swoje,

jak przystoi. Reszta to tylko przeczucia. Zatrważająca
przepuszczalność w impregnacji rzeczywistości.
Chwilowa rezygnacja z sił ciężenia. Lub całkiem
inne stadium pozorowania. Nic z tego? Dlaczego?

CAŁOŚCI

Podskórnice. Polaryzacja z deratyzacją też tam się wyrabia. W podziemiach. Wespół. Jak zespół komórek rozszczepiany na rozmaite plamki i kratery ranek, ale już na powierzchni.

Stąd te pytania: co należy czytać? ile mamy pieniążków? czy tak – czy inaczej? Idea plus minus dobre założenia. Choć z góry podcięte. A z założeń taka bywa scheda, jaka znajdzie

się czereda. I chroniczny brak duchów. Bo za nami stoi naród nad wyraz wiedzący. A wiara działań jest motorem. Więc jakoś sobie resztę wytłumaczają. Trzeba iść z postępem, kroić

namiary i materie. Wszystko musi mieć swoje ręce i – z głowy? Bo na działce pusto i tak. Barak tylko, strzaskany jak ślimacza skorupa, ale bez wystających rożków i wybałuszonych okienek.

Na domiar trzęsiemy się tak charakterystycznie – niczym te opadłe krzaki. Czy można bardziej? Poryw chłodu przerzuca liście na drugą stronę. Uwalnia świeże miejsca. Udowadnia, że można.

SIEDEMDZIESIĄTYCH?

Palcami po ścianie. Tak, zaczynam
odliczać. Ulica wywołuje mnie z tłumu
jak małoformatową odbitkę. Powieła.
A tyle mieliśmy rogatych zamiarów.

Jak z rękawów sypały się pod nogi
drobne pocałunki, pękające na ustach
niczym poruszone opuszkami
pęcherze. Ich historie, cierpki koniec

na koniuszkach ruchliwych języków.
Wszystko to, czym byliśmy momentalnie
ściągani na ziemię, w takiej właśnie
chwili wpisuje was w puste pola.

Wczoraj w zadyszce widzieliście zamęt,
jutro zobaczycie lepiej. Wymrzecie
jak rzadkie ptaki, szczeliny wypełnione
światłem, jak nie domknięte nawiasy.

I ty, mały złośliwcu, też tam będziesz
sterczał nago z topniejącym soptem w rękę.
Ścięta mrozem kałuża zwiąże ci stopy.
I zdążysz ochłonać, nim znów śnieg uderzy.

ABSOLUT

Wątek obyczajowy napoczynający się na styku
linii wzroków. Męczące poczucie straconej pozycji,
wkręcone śrubą wiatru w przestrzeń razem z włosami.
W oczach staje ułamek wierności na widok obłych

ciał w niebieskich mgiełkach. Ech, śliska poręcz
wszechświata przyłapana na załatwianiu swoich spraw.
Wyginająca się jeszcze bardziej niż już jest. Więc wciąż
dać się schwytać za każdą cenę? Bo odpryski ciepła

zaokrąglone w uszach jak muszla? Bo nieustający
chlupot sadzawek? I rozruch nowych podstępów?
Jak widać jest myśl nasilająca niezdecydowanie. Coś,
jakby trap zrobiony na chwilę z patyków albo listków.

Później foremki i łamliwe babki w piasku. Lecz wciąż
bez podręcznych chwytaków. A przede wszystkim
budowniczo wie fortepianów na ekranach większych kin.
I tak: widzi się, że nie ma się nic więcej. Bo świat topnieje,

skrapla się lub w mgnieniu niknie nam z oczu. Jak życie
mrówek rozsypłane z radością pod butem. I kręci się
kołowrót. Żeby był jakiś ruch. Żeby się działo. Żeby choć
cyrkulacja z rotacją – a wymiar statyczny absolutnie.

SPRAWA, ZLEWA

Przekłady melodyjek na język wtórny. Wypisz,
wymaluj. Z ciemnych okien wieżowca, wybitych
dla niepoznaki. Wręcz jakbyś akty miał pstrykać
pochylonym latarniom w rozbłyskach neonów,

w syku magnezji. Dla zaangażowania zmysłów.
Laboratorium dźwięków zresztą utknęło gdzieś
w pobliżu. Gotowiśmy są nie mniej. Niczym dioda
pikająca na ewentualny alarm. Na cudzy ratunek.

Jeszcze ją usłyszysz, wskażesz. Sodoma i komora
już otwarte są na oścież. Wielokrotnie wypychane
przez obłoki cyklonu. Do ostatniego pęcherzyka
powietrza. Byśmy tam wciąż szli i szli – jak w dym?

Na pokaz połączony z przeżyciem. Więc weźmiesz
to tym razem na swoje ramiona. A później złapiesz
niedoczekanie w palce. O, już cię widać. Już krążysz.
Unikasz kontaktu z chorągiewką jak prawdziwy

alpejczyk. Tniesz szkliwo z jednego narożnika
ekranu w drugi. Dziurkujesz kijkami sklepany śnieg.
Nakłuwasz. A resztki lecą na ceratę. Znowu rzucasz
się w oczy pod tym samym kątem. Spadasz też.

ZANIK

Szybko, na przełamanie.
Aby tylko w porę się udało
rozprowadzić piłkę.
W rozległej kałuży boiska.

Jak oporny kryształek cukru
w wychłodzonym płynie.
Bo nie było tak, jak być
miało, lecz cokolwiek

inaczej. A krew przed
opatrzeniem skaleczonej
kostki kolor miała pyszny.
I można się było wylizać

niemal ze wszystkiego.
Cóż zatem? Zająć miejsca
i dać upust, wcisnąć spust,
odbezpieczyć się nawzajem

krętownicą. Wydłubać
resztki naskórka spod
paznokci. Odkąd sztuczka
łamię, czego rozum nie był

w stanie. Już odcinam
sobie kciuk jak niewdzięczny
kupon. I wysyłam go tam,
gdzie zwykle jego miejsce.

Żeby się poskładał w jako
taką całość. Bo co? Bo całość
daje coś więcej aniżeli
tylko żmudną sumę części?

UDERZYĆ

Małe nieporozumienia chadzają parami
nie od dziś. Wnętrze pokoju wypełniają
coraz to lepsze zasadzki. Podłoga gęsto
usłana zapadniami. Pod stopami wyrastają

fundamenty niejasnych zamiarów. Kolejna
lichota z hołotą. Walka o tytuł, imiona
adresy, przezwiska. Do granic. Na strzępy
sylab, dłubanki zdań i roszady metafor

tłumione w zamysłach. Albo zawiłe pytania
o przebiegi starć. Bo wszelki przypadek matką
jest poetów? Machać na to. Nim wyglądnie
się na zewnątrz i popatrzy prosto w górę,

zrobić sobie nad czołem daszek z płaskiej
dłoni. Tam rozmasowana skóra nieba
– między sińcami obłoków pozostawione
miejsce na coś małego. Tam właśnie uderzyć.

A WIĘC

cyrki i świątynie. Skrzepy myśli w formalinach
słów. Przegryzione żarówki. Karuzela i poligon.
Co jeszcze? Szybki bieg lewą stroną chodnika
aż do upadłego na schodach anioła. Aby przerwać

milczenie i szczelny kordon zawziętych przechodniów.
A nade wszystko nie przyznawać się do trybików,
śrubek i sprężynek pochowanych po kieszeniach
tuż po skręceniu wszystkich sprzętów. Bo to tak,

jakby dać się nabrać na ułomny żarcik. Jakby połknąć
haczyk z przynętą, tylko dlatego, że się utkwilo
pod powierzchnią bez dopływu świeżego powietrza,
A przecież brzytwę z założenia chwycić się nie

warto. Ha, zatem teraz nabiera się aż do przelania?
Jaka miarka, taki efekt? No, to niechaj inni wodę
sobie tutaj mącą. Wyginając łyżeczki oczami można
się lepiej załatwić. I wcale nie na żaden domiar, kiedy

naczynie i tak nie to, co potrzeba, a cała akcja skupia
się na rozchylonych udach. A więc raz jeszcze: Mam
liczyć na głos, idąc za znajomym dźwiękiem? Dobrze.
Ale skąd dobiega ten cholerny dźwięk? „Stamtąd”.

ZAPADNIA

Niebywałe do jakiego stopnia zwroty akcji mogą nagiąć wyobraźnię. Martwi mnie tylko idące na gorsze. Przez bezmiar skrętek myśli. Czyżby to ten niezdolny stukot skojarzeń miał nas jeszcze wybawić? Chwytam się różnych metod,

dopóki jeszcze istnieje jakaś szansa i logiczna całość do rozebrania. Kontur jednak nie zawsze wytycza granice. Są doskonalsze stany kamuflażu. Potworna przepaść. Spłycona głębia. Cudze myśli w wymijających wypowiedziach.

Ja natomiast opowiadam się za nieznacznym poślizgiem na rzecz puentowania wierszy. Reszta przybiera inne kształty i polory. A muzyka wciąż działa wymiennie. Przesłania wyższe stadium grzechu. Ale to tylko namiastka równowagi.

Chwilowy wysyp pierwotnych uczuć lub ich ociążały rozkład. Lecz tło mamy już podrobione. Bo nie ma to, jak naprowadzać dialog innymi słowy. Od razu widać, że można zobaczyć coś więcej – ruchome dno i pięć metrów mułu.

SYMULACJA

To taka symulacja. I bynajmniej nie na jakiś umór. Deszcz bije w wieczka parapetów. Czcionka liści, rozsypana we wklęsłościach chodnika, wskazuje drogę do szaletów.

Poprzestawiane ekrany nieba. A wszystko podwieszone na ściankach wyobrażeń. Targane na boki. Miotane wiatrem linie telegraficzne zaciskają się na gardłach

latarni. Ze szkoły wybiega kolorowa szarańcza. Pędzi wprost w rozchylany z sykiem zwieracz drzwi Ikarusa. Wsysa ich ciepły podmuch. Nad głową kierowcy dynda mechaniczny

Jezusek, ruchomy w ramionach, podwieszony do lusterka. Jezdnia w jednym miejscu postawiona jest na sztorc, zachodzi na lewo. Wpadną tam po drodze do domu, niczym

metka, wrzucona niezdarnie za kołnierzyk. Książki na kolanach mieć będą otwarte. Kluczyk drzewa zwinie im w rulonik dach, niczym denko puszki. Taka oto symulacja.

WSZYSTKIE POZYCJE

Dzień upływa pod świętą figurką. Orbity chyba po wybitych myślach, no bo niby po czym? Po mnie? Niech więc będzie. Alternatory słów pozostawione w bezruchu mówią swoje i tak.

Terkoczące dziobaki. Gdzieś w zapuszczonym tle. I nie ma czego roztrząsać. Czujemy się wykołowani. Bo nadprodukcja słabych momentów też się powieliła. W kącie nieba jedyny obłok, napięty

jak mięsień; dwugłowy, rozszarpywany na strzępy przez żyłki połamanych błysków. Wszczepianych w roztrzęsione drzewa raz po, raz przed. Nie chce się wierzyć, że krople deszczu mogą jeszcze pudłować.

JESZCZE DALEJ

Jedynie te wyjątkowo bezwzględne
metody. Żeby tylko wpisać się w nurt.
Wcisnąć palec między dolegające ścianki
języka. Bez żadnych środków, zastępników,

podpórek. Utknąć w przepychu słowa
albo dać coś w zamian. Zetknąć się z taflą
wody parokrotnie. Niczym samolot,
puszczony kaczka po ziemi jak płaski kamyk.

DZIESIĘĆ

Cisza oscyluje w pewnych granicach. Bez szans na powtórki. Bierze nas w niewidzialny nawias przypadkowości. Lecz manekin ułożony wzdłuż torowiska przywołuje ciepłe skojarzenia. Ładunki

uśmiejców eksplodują na twarzach. Zachowawczy spokój drażniony przez ruchliwy nerw kładzie odcisk na policzku. Ale nic to: ilu lekarzy, tyle możliwości znieczulenia. Więc teraz się nie ruszaj – jesteś długim

cieniem i brniesz w najlepsze rejony. Masz osiągnięte co ważniejsze pułapy. Nim policzysz do dziesięciu wszystko się samo rozłoży. „Więc do ilu mogę liczyć na palcach?”. A do ilu naprawdę potrafisz?

BEZ NAZWY

Wciśnięty w kuse ubranko przeliczasz bez końca
noże, widelce i badasz w skupieniu językiem dno
garnka. Zahaczam o sarkazm? A więc czemu
w poduszce zamiast piór tak gęsto kłębi się wiór?

Jak widać, konteksty zupełnie się poprzestawiały.
To już nie to, co nagle przeskoki rzeczywistości
i świadomy wybór mniejszych zdrad. To nie to,
co dać się przymknąć w chłodnej jamce definicji.

TRUDNE RACHUNKI

Ów sen, pytaniem rozwiana
zagadka, pomyłka z wyboru
i z łóżka. Co jeszcze? Niewiele.
Ale to i tak tylko dlatego, że nie

ma to jak zmyślne i zmyślane
w zderzeniu z przejmującą życia
skłonnością do przekłamań.
Więc idź i bądź. I bardziej bądź.

WISZĄCY

Jakby miał przetrącone skrzydła, upadły, dwukrotnie
obrócony w przybrudzonym świetle. Mijam go codziennie
w obu kierunkach. Jeszcze wczoraj zwisał tuż obok
zeszklonej sadzawki, przy pomniku. Przy tym, który

wygląda jak monstrualna rzęsa wbita do połowy w śnieg.
A dziś? Dziś ktoś go sobie zabrał i pozostawił krotochwilne
odciski stópek na lepkim śniegu. Spójrz tylko, jak wiernie
przyłgnął ci do butów. Czy wiesz, jaki to gatunek śniegu?

Bo, widzisz, to bardzo istotne, aby został usunięty we właściwy
sposób. I nie myśl, że to po raz ostatni sople poutrącał wiatr.
Można to wyczytać z licznych znaków. I nie próbuj nadać temu
wyższego znaczenia. Jego twarz mówi więcej aniżeli powinna.

SPIS TREŚCI:

Leżący	3
Zawroty drugie	4
Siedem trójek	5
Styczność	6
Projekcje	7
Razem wzięci	8
Ewokacje	9
Ostatnie figury	10
Nóż obosieczny	11
Migawka	12
Rozerwiesz	13
Sklepienie	14
Całości	15
Siedemdziesiątych	16
Absolut	17
Sprawa, zlewa	18
Zanik	19
Uderzyć	20
A więc	21
Zapadnia	22
Symulacja	23
Wszystkie pozycje	24
Jeszcze dalej	25
Dziesięć	26
Bez nazwy	27
Trudne rachunki	28
Wiszący	29